

Odpowiedzialność dziennikarska oraz kobiety w polskim kinie - dwa nurty tegorocznego Austin Polish Film Festival

Rozmowa z Mariolą Wiktor, krytykiem filmowym, która w tym roku poprowadzi Festiwal Polskich Filmów w Teksasie.



James Norton, jako Gareth Jones w filmie Agnieszki Holland „Mr. Jones” (2019)

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Ukończyłaś filologię polską na Uniwersytecie Łódzkim, studiowałaś też teatrologię. Kiedy zaczęłaś interesować się filmem?

Mariola Wiktor: W liceum. Na konfrontacjach filmowych zobaczyłam filmy, jakich wcześniej nie znałam, z najdalszych zakątków świata. Chciałam więcej i chciałam o tym rozmawiać. Dyskusyjne Kluby Filmowe taką możliwość stwarzały. Potem była Akademia Filmu Światowego. Chociaż ostatecznie studiowałam polonistykę i

teatrologię to kino było ze mną cały czas. Odkrywałam też polskie kino, adaptacje polskiej literatury. Przełomem okazał się mój pobyt w Chicago w 1994 roku, gdzie odbyłam praktykę w Polvision, polskiej telewizji. Poznawałam od kuchni nowe medium. Do tej pory byłam dziennikarzem prasowym, piszącym o teatrze i kinie. W Polvision wymyśliłam i realizowałam, także jako producent i prowadząca, cotygodniowy program kulturalny „Kram z Muzami”. Zafascynowały mnie możliwości obrazu i to jak wiele więcej można nim przekazać, niż tylko słowem pisanym. Po przyjeździe do Polski współpracowałam przy etiudach studentów łódzkiej Szkoły Filmowej i przy realizacji filmów dokumentalnych. Byłam uczestnikiem warsztatów „Dragon Forum”, które uczyły *pitchingu* dokumentów. Zaczęłam wyjeżdżać na festiwale filmowe, najpierw w Polsce, a potem do Cannes, Berlina, Karlowych Warów, Wenecji. I wróciłam do pisania o kinie (korespondencje, wywiady). Zostałam też członkiem FIPRESCI i jurorką festiwalową, panelistką, prowadzącą spotkania, warsztaty, zajęcia ze studentami (gościnnie) w Szkole Wajdy. To życie pochłonęło mnie całkowicie. I trwa już od ponad 20 lat.

JSG: Przez wiele lat organizowałaś festiwale filmowe, w Wielkiej Brytanii czy też Festiwal w Łodzi Cinergia. Opowiedz o tym.

MW: Mój „debiut” w branży festiwalowej, czyli III Festiwal Filmu Polskiego w Londynie pod patronatem Instytutu Kultury Polskiej w 2004/2005 roku był skokiem na głęboką wodę. Przejęłam go w trakcie organizowania od Moniki Braid, znakomitej polskiej producentki pracującej w Wielkiej Brytanii, która go zaprogramowała i na szczęście zgodziła się pomóc niedoświadczonej wtedy koleżance. Nie było łatwo, ale chyba wówczas połknęłam bakcyła. To było szeroka reprezentacja polskiego kina (shorty, dokumenty, animacje, fabuły, różne pokolenia filmowców) prezentowane przede wszystkim dla widza brytyjskiego w tak kultowych miejscach Londynu jak Riverside Studio, Soho Myfair, Serpentine Gallery, Barbican. I wielka radość, że w tych miejscach na polskich filmach mieliśmy pełne sale. Kiedy po latach Sławek Fijałkowski, szef kina Charlie w Łodzi, zaproponował mi organizowanie nowej formuły już istniejącego festiwalu filmowego, który będzie promował najlepsze polskie i europejskie kino, nie wahałam się podjąć wyzwania. Jednym z ważnych argumentów „za” był rodzaj dziennikarskiego niespełnienia. W codziennej gazecie, w której pracowałam było coraz mniej miejsca na poważne pisanie o kinie. Poczułam, że tworząc kolejne edycje „Forum Kina Europejskiego Cinergia” (2009-2015),

nadając mu mój własny autorski charakter (przez siedem lat byłam jego dyrektorem programowym i artystycznym) zyskuję o wiele większe możliwości promowania dobrego kina. I biorę za to większą odpowiedzialność. To był rodzaj przygody, mierzenia się z nowymi sposobami uprawiania krytyki czy też dziennikarstwa filmowego i docierania z tym do widzów. Ze względu na niewielkie budżety nasz program musiał być zawsze bardzo starannie przemyślany. Dobór filmów (ok. 80-90) w każdej edycji, a w rekordowej nawet 200, nigdy nie był przypadkowy, a poszczególne sekcje (ok.10-11) były tak konstruowane, by prowadziły ze sobą dialogi, uzupełniały się albo stwarzały pole do konfrontacji. Udało mi się także, dzięki dobrym kontaktom międzynarodowym, sprowadzić do Łodzi takie ikony kina europejskiego jak np. Marta Meszaros, Otar Josseliani, Peter Greenaway, Andriej Konczalowski, Tinto Brass, Istvan Sabo i wielu innych.



Mariola Wiktor

JSG: Jak wpisuje się polskie kino w trendy europejskie czy też światowe?

MW: Polskie kino, jest coraz lepiej rozpoznawalne i cenione w międzynarodowym obiegu festiwalowym. Myślę, że tak jak kiedyś z zazdrością patrzyliśmy na sukcesy rumuńskiej czy greckiej nowej fali, tak dziś polskie kino budzi w świecie rosnące zainteresowanie i nie jest już tylko kojarzone z filmami Krzysztofa Kieślowskiego, Andrzeja Wajdy, Krzysztofa Zanussiego czy Jerzego Skolimowskiego. Profesjonalizacja branży filmowej (pojawienie się na rynku młodych, kreatywnych producentów, biorących udział w *developmentach*, warsztatach, programach z siecią kontaktów międzynarodowych, wsparcie Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, aktywność regionalnych funduszy filmowych) oraz efekt „Idy”, a ostatnio „Zimnej wojny” Pawła Pawlikowskiego – zrobiły swoje. Polscy filmy nie tylko pojawiają się w

konkursach i prestiżowych sekcjach największych festiwali, ale odnoszą tam spektakularne sukcesy. Tylko w 2018 roku film „Twarz” w reżyserii Małgorzaty Szumowskiej otrzymał w Berlinie Wielką Nagrodę Jury, czyli Srebrnego Niedźwiedzia. W Cannes, poza nagrodą dla najlepszego reżysera dla Pawła Pawlikowskiego za „Zimną wojnę”, światową premierę miała także „Fuga” Agnieszki Smoczyńskiej. A w tegorocznym programie Polish Austin Film Festival mamy najnowszy film Agnieszki Holland „Mr. Jones”, który miał światową premierę na tegorocznym Berlinale; „Jeszcze dzień życia”, pokazany w Cannes (nagroda Europejskiej Akademii Filmowej dla Najlepszej Animacji); nagrodzony w Rotterdamie i Karlskrone pełnometrażowy debiut fabularny Olgi Chajdas pt: „Nina”; laureata Jury Ekumenicznego festiwalu Black Nights w Tallinnie i Nagrody Publiczności film „Wilkołak” Adriana Panka.



Krystyna Janda w filmie Jacka Borcucha „Słodki koniec dnia”

W Austin zobaczymy także Krystynę Jandę, której przyznano w Sundance w 2019 roku nagrodę dla Najlepszej Aktorki w filmie Jacka Borcucha „Słodki koniec dnia”. No i wreszcie obejrzymy w Austin „Boże Ciało” Jana Komasy, nagrodzone w Wenecji w tym roku Europa Cinemas Label i nasz polski kandydat do Oscara. To kino uniwersalne i indywidualne zarazem, wolne od garbów przeszłości, nowocześnie opowiadane, zrozumiałe i intrygujące dla widza pod każdą szerokością geograficzną.

JSG: Tegoroczny Festiwal Polskich Filmów w Austin otwiera nagrodzony Złotymi Lwami w Gdyni Film Agnieszki Holland „Mr Jones”. Jest to wielkie światowe kino z historyczną perspektywą, które podejmuje dyskusję na temat granic władzy polityków oraz odpowiedzialności i etyki dziennikarzy. Film opowiada o losach autentycznej postaci, przedwojennego brytyjskiego dziennikarza Garetha Jonesa, który odkrywa sprowokowany przez Stalina Wielki Głód na Ukrainie. Jak skomentujesz ten film.

MW: „Mr. Jones” Agnieszki Holland to bardzo ważny film dla nas dzisiaj, choć inspirowany wydarzeniami historycznymi z lat 30. Przywołując Wielki Głód na Ukrainie, odsłonięta zostaje kolejna biała plama historii, wstydliwie przez lata przemilczana, nie tylko przez stalinowski reżim, a potem kolejne władze radzieckie, ale także przez zachodnioeuropejskich polityków, intelektualistów i dziennikarzy, ukrywających niewygodną prawdę. Z naiwności, konformizmu, koniunkturalności, wygody, cynizmu, chęci nie narażenia się. Od tego miejsca film Agnieszki Holland staje się rodzajem refleksji nad zmanipulowanym przez media światem, w którym żyjemy. Tu i teraz. Analogie z przeszłością brzmią jak ostrzeżenia. Jeśli media przestaną być wolne, niezależne od układów politycznych, krytyczne wobec rzeczywistości, dociekliwie i nieustępliwe w poszukiwaniu prawdy to skazani będziemy na propagandę i fałszywy ogląd świata, to tragedie takie jak ta sprzed laty na Ukrainie mogą się powtórzyć, bo ci którzy je sprowokują będą się czuli bezkarni, a cierpienia ofiar daremne, bo nie zapisane w pamięci zbiorowej, w przekazywanym pokoleniowo doświadczeniu tragedii. Ten film jest ważny także dlatego, że polemizuje z odwiecznym przekonaniem, iż jednostka nie może zmienić świata. Gareth Jones udowadnia, że może, ale płaci za to najwyższą cenę.

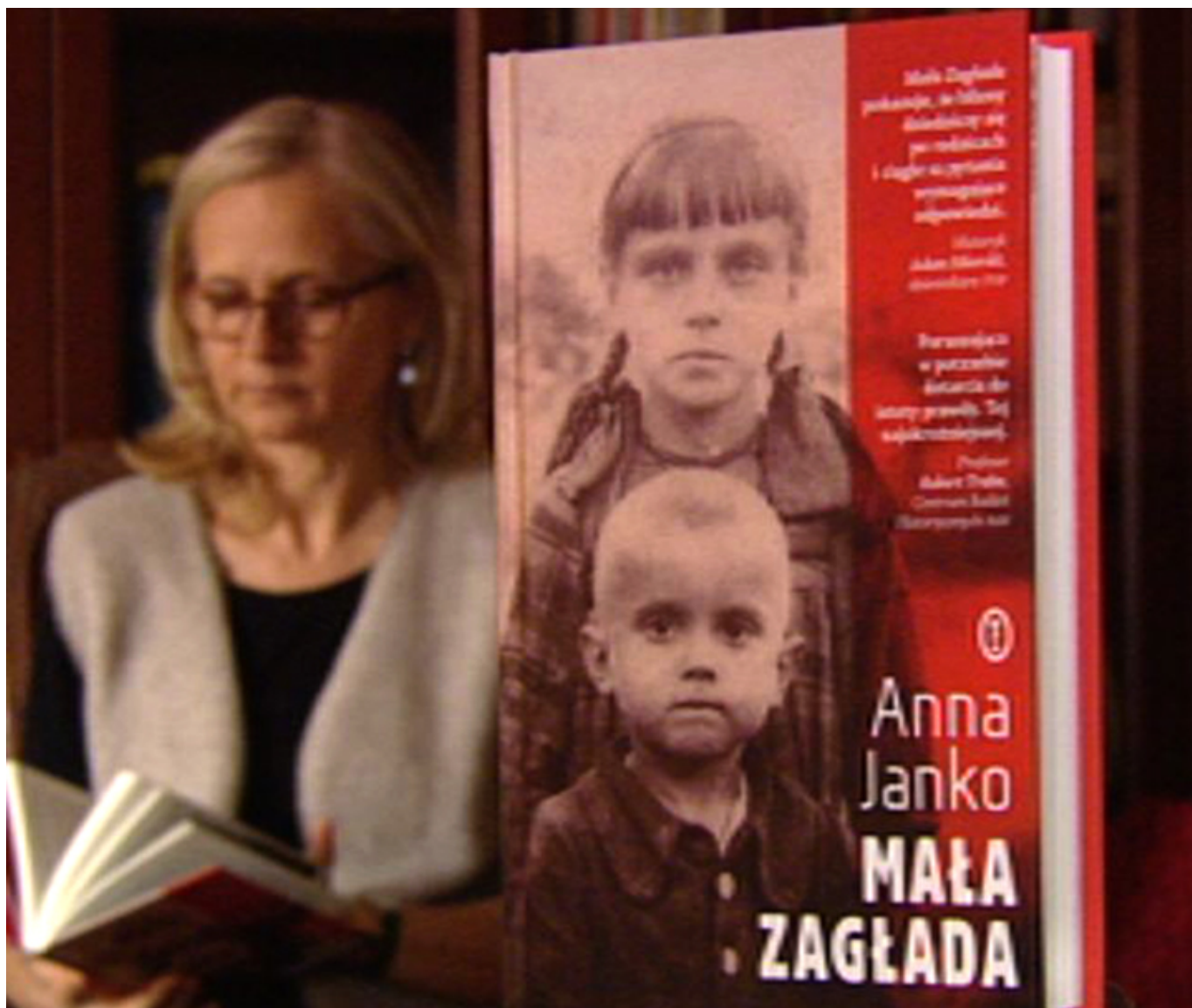


James Norton, jako Gareth Jones w filmie Agnieszki Holland „Mr. Jones” (2019)

JSG: Odpowiedzialność dziennikarska pojawia się także w filmie Damiana Nenova, nakręconym na podstawie książki „Jeszcze dzień życia” Ryszarda Kapuścińskiego.

MW: O tym, że jeśli coś nie zostanie nazwane, zapisane, sfotografowane to tego nie ma. O tym opowiada inny film tegorocznego festiwalu w Austin, podejmujący kwestie dziennikarskiej etyki i odpowiedzialności na kształt naszej rzeczywistości, naszego jej odkrywania. To znakomita hybrydowa mieszanka animacji i dokumentu w reż. duetu Damian Nenow i Raul de la Fuente i zarazem brawurowa ekranizacja książki Ryszarda Kapuścińskiego pod tym samym tytułem, będąca pokłosiem wyprawy polskiego reportera do Angoli w 1975 roku, do samych źródeł krwawej wojny domowej po odzyskaniu przez Angolę niepodległości. To wtedy z reportera Kapuścińskiego urodził się pisarz Kapuściński. Rola biernego obserwatora wydarzeń i dotychczasowy format dziennikarskich notatek okazały się niewystarczające by unieść ogrom bólu, cierpienia, potworności, których Kapuściński był naocznym świadkiem. To nie przypadkiem forma animacji (poprzez swoją niedosłowność, symboliczność), tak jak powieści (dzięki nielinearności, wieloznaczności słów), są w stanie wyrazić emocje nieoczywiste, nieopisane, nienazwane, zajrzeć w głąb myśli bohaterów. Tego nie da się przekazać ani za pomocą tylko dokumentu, ani suchej

depeszy PAP. To film nie tylko o wojnie w Angoli, ale przede wszystkim o tym, co ta wojna z ludźmi robi i jak zmienia perspektywę, jak intensyfikuje życie i doznania.



JSG: Historia pojawia się też w filmie dokumentalnym, połączonym z animacją, powstałym na podstawie książki Anny Janko pt. „Mała zagłada”. Jest to wstrząsająca historia wojenna, kiedy w wyniku prowokacji niemieckiej, zostają wymordowani mieszkańcy wioski pod Lublinem. Na ile takie tematy są wciąż potrzebne?

MW: Film „Mała zagłada” w reż. Natalii Korynckiej-Gruz nie jest kolejnym filmem o okropieństwach wojny, czy świadectwem zbrodni. Choć punktem wyjścia jest pacyfikacja wsi Sochy z 1 czerwca 1943 roku i wymordowanie ludności cywilnej, to

dla mnie jest to przede wszystkim film o tym, jak dziedziczy się traumę. Opowiada o zapośredniczonej przez zasłyszane opowieści pamięci, ale również o wyssanym z mlekiem matki lęku. I to jest porażające, jak mocno i na wiele pokoleń traumatyczne przeżycia naszych przodków odkładają się w nas samych. Ten film to uświadamia i w tym sensie jest ważny, potrzebny, nośny. Znowu nie przypadkiem mamy tu do czynienia z mariażem fabuły i dokumentu w sytuacjach ekstremalnych, granicznych jakich doświadczają wszyscy, którzy przeżyli piekło. Nie jestem jednak pewna, czy zapożyczone (choćby Theodore Adorno, Elisabeth de Fontenay, J.M. Coetzee, film „Okja” Joon-ho Bong, pokazywany w Cannes,) kontrowersyjne porównanie przemysłowego zabijania zwierząt do eksterminacji Żydów w obozach koncentracyjnych, jakie pojawia się w „Małej zagładzie”, nie jest nadużyciem. Rozumiem, że taka terapia szokowa wzmacnia pacyfistyczne przesłanie filmu, jego apel o nieobojętność, zachowanie wrażliwości i empatii, wobec wszystkiego, co żywe, czujące, niezgodę na zabijanie. Reżyserka zdaje się przekonywać, że nasza niewrażliwość na los zwierząt ma wiele wspólnego ze zubożeniem na śmierć ludzi w obozach. Jeśli ma rację, jeśli nie ma innego sposobu przebicia się przez skorupę obojętności widza, to w jak bardzo przebudźcowanym i znieczulonym świecie żyjemy?



Maja Ostaszewska w filmie „Ja teraz kłamię” Pawła Borowskiego

JSG: Jeszcze jeden film na tegorocznym festiwalu w Austin dotyczący tematu mediów i ich odpowiedzialności za kreowaną rzeczywistość. „Ja teraz kłamię” Pawła Borowskiego jest karykaturą, tak uwielbianych w Ameryce TV Shows. Ten nakręcony w konwencji retro-futurystycznej thriller metafizyczny ma uwrażliwić widza na granice pomiędzy fikcją a prawdą w świecie, w którym żyjemy. Czy tak?

MW: „Ja teraz kłamię” to film o *voyeuryzmie*, o kinie jako fikcji, o obsesji na punkcie konsumpcji informacji medialnych. Aktorzy i piosenkarka w *reality show* Borowskiego handlują swoją prywatnością, sami chcą być podglądani, bo im większe zainteresowanie budzą, tym lepiej na tym zarabiają. „Ja teraz kłamię” zmierza do refleksji nad współczesnym życiem oraz mass mediami. Ten film unaocznia jak bardzo zacierają się dziś granice między tym, co jest jeszcze prawdą, a co fikcją. Pokazuje jak chętnie bazujemy na strzępach informacji, które funkcjonują w różnych, często skrajnie odmiennych kontekstach, a my sami nierzadko je tworzymy. Liczy się

to, w co ludzie chcą uwierzyć. W tym sensie jest to także film o manipulacji, ale niekoniecznie narzuconej z góry. Borowski pokazuje niepokojąca łatwość, z jaką ulegamy takiej sztucznie wykreowanej rzeczywistości. Jesteśmy od niej uzależnieni, bo fikcja jest ciekawsza, barwniejsza, niż zwykle życie. To nie jest nic odkrywczego, kolejny banał, ale film broni się niesamowitą oprawą wizualną. Pokazuje alternatywną rzeczywistość, której nie ma, czyli fikcję właśnie, ale nie totalną, tylko taką która jest w jakimś sensie wiarygodna.

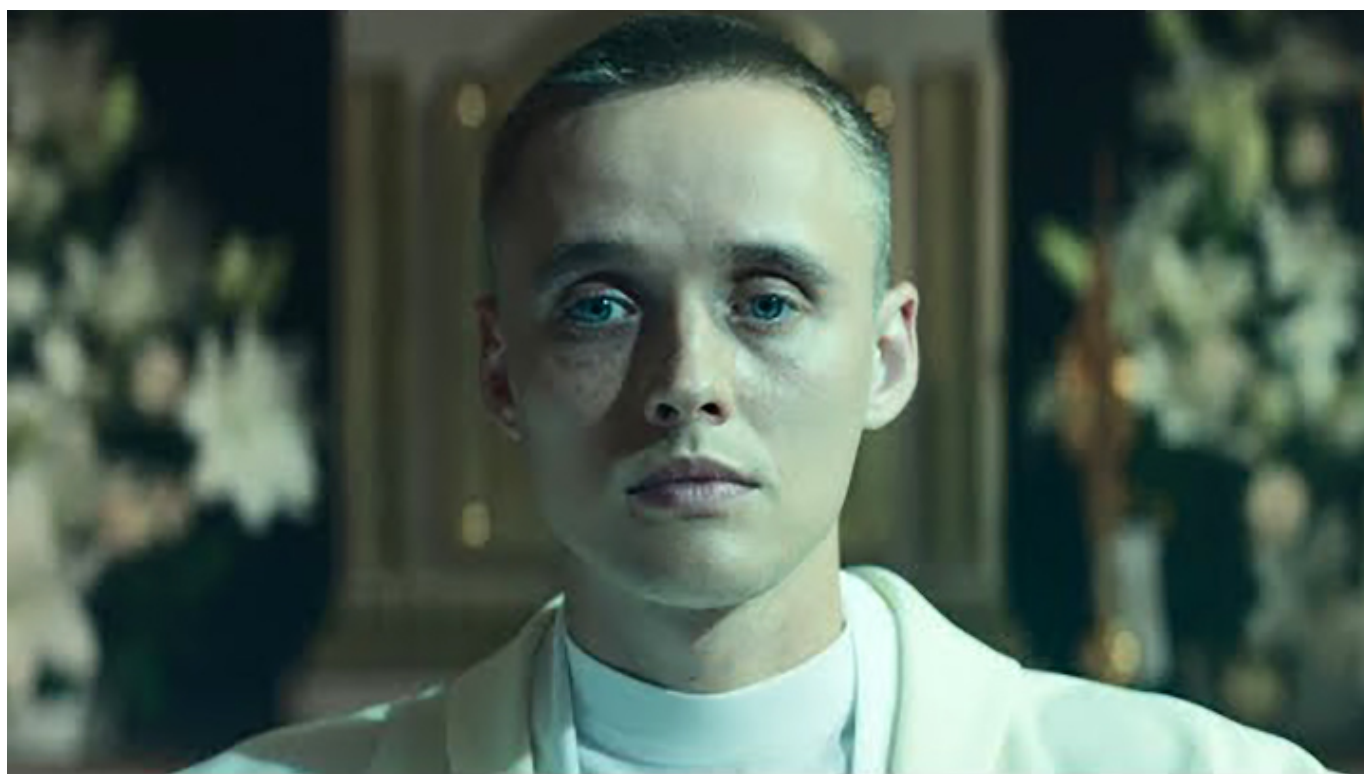


Magdalena Popławska i Michał Żurawski w filmie Ewy Bukowskiej „53 wojny”

JSG: Festiwal 2019 w Austin zaprezentuje polskie kino stworzone przez kobiety i mówiące o problemach kobiet. Zobaczmy filmy: „Zabawa, Zabawa” Kingi Dębskiej, „53 wojny” Ewy Bukowskiej, ze świetną rolą Magdaleny Popławskiej, „Powrót” Magdaleny Łazarkiewicz, „Ninę” Olgi Chajdas czy też „Słodki koniec dnia” z Krystyną Jandą. Jakie wspólne cechy łączą kobiety - twórcynie polskiego kina?

MW: Jeśli szukać jakiegoś wspólnego mianownika dla polskich reżyserek filmów pokazywanych w Austin, to z pewnością można wskazać, na próbę poszukiwania przez nie nowych kobiecych bohaterek. Silnych, charyzmatycznych, odważnych, wyłamujących się ze schematów, ale także tych stojących dotąd w cieniu mężczyzn, wreszcie dostrzeżonych przez polskie kino. Szczególnie wyróżniają się na tym tle

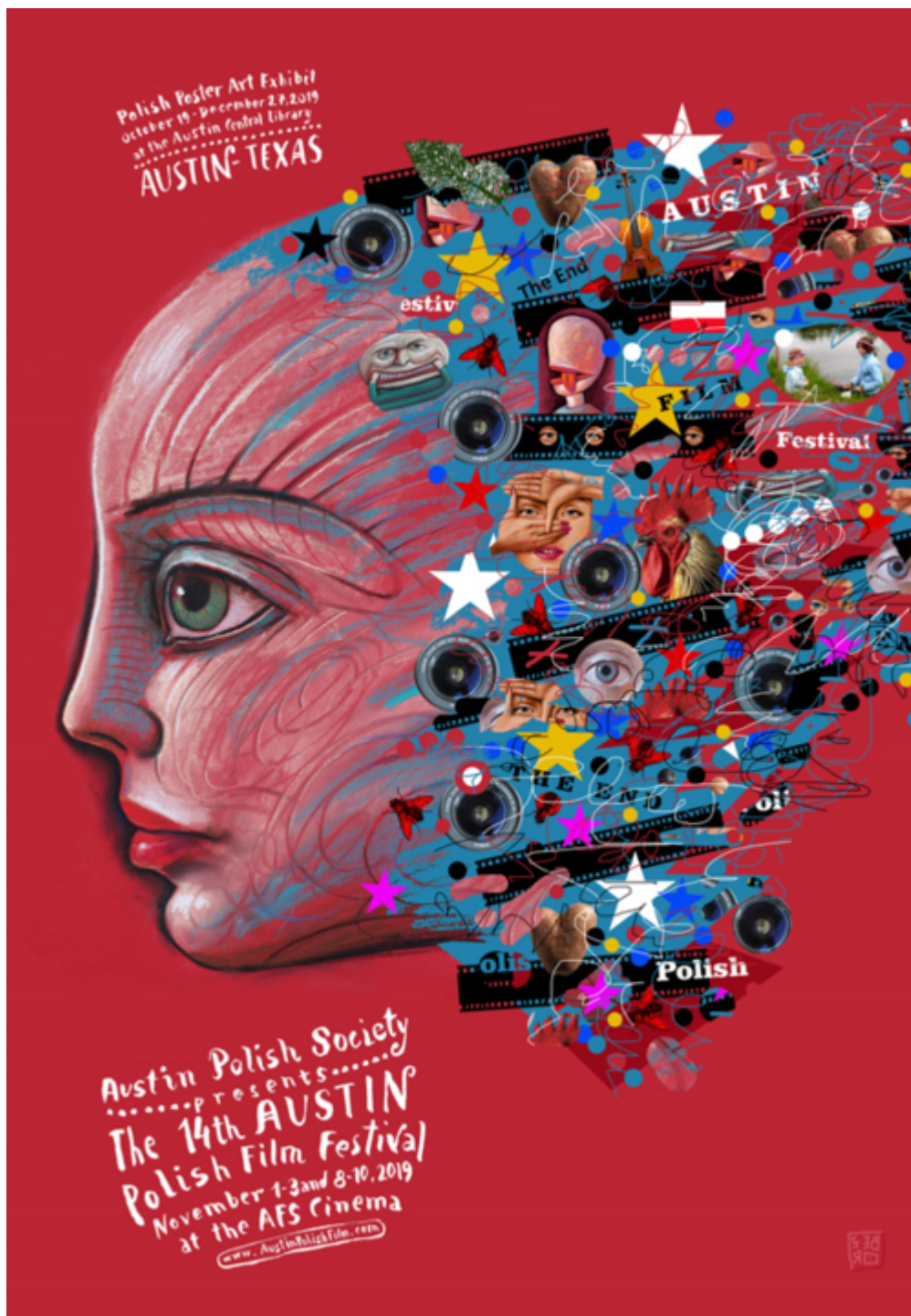
„Nina” Olgi Chajdas oraz „53 wojny” Ewy Bukowskiej. Koniecznie dorzuciłabym to tego także męski film o kobiecie niekonwencjonalnej, czyli „Słodki koniec dnia” Jacka Borcucha. Takich bohaterek i tematów w polskim kinie dotąd nie było. Wszystkie genialnie zagrane: Julia Kijowska, Magdalena Popławska, Krystyna Janda. Bohaterka „Niny” (Julia Kijowska) to kobieta świadoma siebie, podążająca za własnym instynktem, potrzebami, pragnieniami, daleka od stereotypu poświęcającej się Matki Polki, przykładnej żony, odkrywająca własną seksualność, nie obawiająca się być sobą. W „53 wojnach” Anna (Magdalena Popławska) cierpi na syndrom stresu pourazowego. Gra żonę korespondenta wojennego, kobietę popadającą w obłęd, nie mogącą się uporać z życiem w nieustającej niepewności czekania na telefon od męża, który narażając siebie zapomina o swojej rodzinie i jej cierpieniu. Wreszcie wspaniała Krystyna Janda jako Maria Linde w „Słodkim końcu dnia”. Kobieta wyzwolona, szanowana noblistka, polska pisarka, Europejka, intelektualistka wiodąca spokojne życie w Toskanii, która robi i mówi to, co chce i żyje tak, jak chce. Łamie stereotypy wieku, rasy, poprawności politycznej i ponosi tego bolesne konsekwencje, ale przynajmniej żyje pełnią życia, nie bezrefleksyjnie i dokonuje własnych wyborów.



Bartosz Bielenia w filmie Jana Komasy „Boże ciało”

JSG: Trudno też nie powiedzieć o filmie nagrodzonym w Wenecji, zauważonym w Gdyni, ludzkim i niepretensjonalnym „Bożym ciele” Jana Komasy. Po premierze w Gdyni ludzie nie chcieli wypuścić reżysera, a owacjom na stojąco nie było końca. Jest to nasz kandydat na Oscara. Na czym polega siła tego filmu?

MW: „Boże Ciało” Jana Komasy jest filmem uniwersalnym. Dotyka tematu, z którym identyfikować się dziś może wielu, zwłaszcza młodych ludzi na całym świecie. Chodzi o potrzebę przynależności do jakiejś wspólnoty i wartości duchowe. Jedno i drugie jest dziś w zmaterializowanym, zrutynizowanym świecie pozbawionym autorytetów - towarem deficytowym. Daniel, brawurowo zagrany przez Bartosza Bielenię udaje księdza. Dzięki temu ten dotąd wykluczony, marginalizowany młody człowiek z poprawczaka staje się ważnym członkiem parafialnej wspólnoty. Dzięki poczuciu empatii wie jak nawiązać dialog ze swoimi parafianami, jak łączyć ludzi ze sobą w czynieniu dobra, jak wybaczać i akceptować. Film był pokazywany na kilku najważniejszych światowych festiwalach, między innymi w Wenecji i w Toronto, i wszędzie tam był odbierany jako dzieło ważne, w pełni zrozumiałe i trafiające w nastroje ludzi poszukujących duchowości, dalekiej od fasadowej wiary i instytucjonalnego Kościoła. Bo też według Komasy religijność okazuje się prawdziwa, kiedy odrzuca pozór rytuału i ślepej wiary. To psychoterapeutyczny moralitet, znakomicie, z nerwem opowiedziany.



Projekt plakatu Leszek Żebrowski
Strona Austin Polish Film Festival:

<https://www.austinpolishfilm.com/>